



Charakter księdza McGivney'a

*Współcześni księżu McGivney'owi wspominają założyciela
Rycerzy Kolumba jako skromnego i serdecznego człowieka*

Ks. Joseph G. Daley

NOTA REDAKTORA NACZELNEGO: W ramach upamiętnienia rodzin (12 sierpnia 1852 roku) i śmierci (14 sierpnia 1890 roku) ks. Michaela J. McGivney'a publikujemy skrócony artykuł, który został opublikowany w 1900 roku w czerwcowym numerze magazynu *The Columbiad*, oficjalnego czasopisma Zakonu przed powstaniem *Columbii*.

Wannałach kapłaństwa Nowej Anglii żadne z imion nie zasługuje na bardziej świetliste uhonorowanie niż imię ks. Michaela Josepha McGivney'a. Jego krótkie, 38-letnie życie, zakończone latem 1890 roku było bogate w każdą z kapłańskich cnót — miłością dla dusz godną prawdziwego alter Christus, dziecięcą pobożnością proboszcza z Ars, gorliwością Wincentego à Paulo, niewyczerpywalnym optymizmem współpracowników bł. Fryderyka Ozanama — cechy te, tak cenne w oczach człowieka i niebios, klarownie odbijały się w duszy tego dobrego, prostego, uczciwego kapłana z Connecticutu.

Jego specjalnym powołaniem było rozwijanie katolickiego męstwa, skomponowanie jednej wyrażonej solidarności z wszystkich elementów, które składają się na siłę charakteru, a także, niewątpliwie, wydobywanie tej trwałości charakteru — innymi słowy: katolickości — i uczynienie jej znaną światu ze swej siły. Dzięki jego wysiłkom w 1882 roku powstała społeczność Rycerzy Kolumba. Jej celem było stworzenie świeckiego bractwa, które, nie będąc religijną grupą w ścisłym sensie tego słowa, będzie wymagało od swoich członków pewnych religijnych kwalifikacji, tzn. otwartego wyznawania katolickiej wiary i synowskiej podległości Kościołowi we wszystkich obszarach doktrynalnych, dyscyplinarnych i moralnych.

Od tego czasu efekt działania społeczności Rycerzy Kolumba jest wyjątkowy: świeccy katolicy mężczyźni uświadomili sobie drogocенność wrodzonych praw synów Kościoła. A zatem katolicka przynależność, zniesławiana od tak dawna i od tak dawna wskazywana jako zagrożenie dla państwowych instytucji, stała

się prawdziwym synonimem prawości, pobożności, inteligencji i społecznej siły. Rycerze Kolumba, łącząc ze swoimi szeregami taką integralność moralnych zasad, takie podwyższenie umysłu i taką wzniosłość charakteru, rozwiła dawne przesady i sprawiło, że imię Katolik wszędzie stało się szanowane. (...)

Ustanowienie Rycerzy jako społeczności było wyraźnie rucchem księdza. Ich założyciel jako chłopiec studiował klasyczne przedmioty pod okiem jezuitów w Montrealu. Będąc pośród nich, tak przesiąkł duchem ich erudycji, że sam zapragnął zostać jezuitą. Jego ojciec, zawodowo silny formierz, a w czasie wolnym ktoś na kształt rolnika, żyjący wtedy na przedmieściach miasteczka Waterbury, sam nie pozwoliłby sobie na wzbudzanie takich pragnień w duszy syna, a gdy wybiła godzina, stanowczo odmówił ojcowskiego błogosławieństwa.

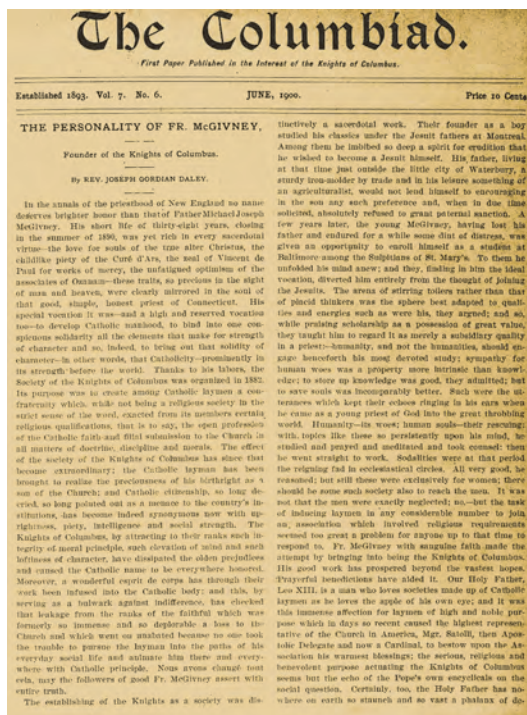
Kilka lat później młody ks. McGivney, utraciwszy ojca i przecierpiwszy jego stratę, otrzymał szansę przyjęcia się do placówki sulpicianów Najświętszej Maryi Panny w Baltimore. Przed nimi na nowo otworzył swój umysł a oni — dostrzegłszy w nim prawdziwe powołanie — całkowicie odciągnęli go od myśli o wstąpieniu do jezuitów. Sfera niestrudzonych robotników pasowała do jego cech i energii o wiele lepiej niż domena spokojnych myślicieli — argumentowali — a skoro tak, to choć cenili sobie oczytanie jako rzecz o wielkiej wadze, nauczyli go, aby uważał je za wartość zaledwie pomocniczą w życiu księdza — wartości, a nie przedmioty humanistyczne powinny odtąd stać się jego najważniejszym polem badań. Współczucie dla ludzkiej nędzy było wartością bardziej realną niż wiedza. Przyznawali, że magazynowanie jej jest

dobre, ale zbawienie dusz — nieporównywalnie lepsze. (...)

Ludzkość — ich niedole; ludzkie dusze — ratowanie ich: wśród tematów jak te tak niewzruszenie trwające w jego umyśle, uczył się, modlił się, rozmyślał i radził się: a potem ruszył prosto do pracy. (...)

Pamiętam spotkanie z ks. McGivney'em w New Haven w 1883 roku, rok po ustanowieniu Rycerzy. Był wtedy w sile wieku, a dobry, acz delikatnego zdrowia proboszcz, ks. Lawler, powierzył mu zarządzanie kościołem pw. Najświętszej Maryi Panny, najbardziej arystokratycznej parafii w Connecticut, która leżała niedaleko wież Uniwersytetu Yale.

O ks. McGivney'u jednak można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że był arystokratą. Był człowiekiem ekstremalnie dobrych manier w każdej społeczności, ale bez żadnego zadęcia, bez żadnego „wywyższania się”, o ile można to tak nazwać. Wi-



Na poprzedniej stronie: fotografia ks. Michaela J. McGivneya siedzącego na plebanii około roku 1880, której autorstwo przypisuje się studio fotograficznemu Johna J. Tierney'a, parafianina kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny i członka rady 1 im. San Salvador.
• Pierwsza strona artykułu pt. „Charakter ks. McGivney'a” opublikowanego w czerwcowym wydaniu *The Columbiad* w 1900 roku.

działem go tylko raz, a jednak wciąż pamiętam jego bladą, piękną twarz, jakby to było wczoraj. To była 'twarz kapłana', co wyjaśnia wszystko. To była twarz pięknego wyciszenia. Nie było w tym obliczu niczego, co byłoby oschłe, ale też niczego, co nie byłoby silne. Nie było w niej nic z twarzy polityka i nic z człowieka interesownego. Podstępność i żądza były mu równie obce jak niebu. Spotkać go, oznaczało: od razu mu zaufać, a najstarsi ludzie z sąsiedztwa, których specjalnie wyszukiwał i którzy otrzymywali w darze choćby odrobinę jego czasu w nawet najbardziej zajęte dni, nazywali go oczywistym świętym i naprawdę tak myśleli.

W miejskim więzieniu strażnicy przekazują sobie anegdotę o tym, co ks. McGivney mówił i robił podczas odwiedzin więźniów. Inne miejsca także obfitowały w wydarzenia z jego udziałem. Niewidomy, stary człowiek, który żył z jałmużny i nie był katolikiem, każdej niedzieli przychodził na mszę św. do kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny, aby usłyszeć „ten głos”. Niekatolicy odnajdywali w ks. McGivney'u duszę o olbrzymim współczuciu, która zapraszała ich, by badali religijne prawdy, jakie głosiły jego usta.

Pośród nawróceń, które są dziełem Bożej łaski w ks. McGivney'u, są dwa przypadki, o których po dziś dzień mówi się w New Haven. Jednym z nich jest historia Davida Buella, muzyka sławnego niegdyś w czasie jego studiów na Yale i autora opery Penikeese; dziś człowieka nieznanego, choć jest członkiem Towarzystwa Jezusowego. Inna sławna konwersja dotyczyła Panny Harwood, córki Wielebnego Doktora Harwooda, rektora najbardziej zasłużonego zgromadzenia episkopalnego w całym stanie, człowieka wielce uczonego i bardzo zamożnego. Jej nawrócenie przyciągnęło uwagę z powodu jej wyróżniającej się pozycji w drabinie społecznej, dobrego domu i sfer, w których się obracała, świetności umysłu, który posiadała razem z wyższością edukacji i niesamowitą osobistą gracją. Jej śmierć, która przyszła o wiele za wcześnie, została przyjęta z całym pocieszeniem, jakim obdarzyć może nasza święta wiara.

Wpływ ks. McGivney'a na mężczyzn był czymś wyjątkowym. Szczególnie młodzi mężczyźni garnęli się do niego i polegali na jego słowach z żarliwością, którą on sam zawsze zachwycał. Setki ludzi zwracało się do niego po światło rady i przysyłali kolejnych, by dzielić się jego wskazaniem.

To pouczające spostrzec, że tym młodym mężczyznom z najstarszych rad udało się zwińnić swoje dorosłe kariery. Cornelius T. Driscoll jest dziś burmistrzem New Haven. Dr Stephen Maher, uzyskawszy tytuł w Edynburgu, jest dziś bardzo rozpoznawalny w kręgach medycznych. John J. Phelan, żyjący wygodnie w Bridgeport został wybrany Sekretarzem Stanu w Nutmeg Commonwealth i służy pod burmistrzem Luzonem Morrisem. John T. McPartland, po którym spodziewano się, że odda się Kościołowi, wzbogacił się w biznesie. A także Edward Downes, członek prawdopodobnie najstarszej, najbogatszej i najbardziej szanowanej katolickiej rodziny w New Haven, którego przeznaczeniem wydawała się być polityka, ostatecznie ujawnił swoje powołanie do życia kapłańskiego.

szaj i najbardziej szanowanej katolickiej rodziny w New Haven, którego przeznaczeniem wydawała się być polityka, ostatecznie ujawnił swoje powołanie do życia kapłańskiego.

Dwóch członków starej gwardii przylgnęło na wyłączność do spraw Rycerzy Kolumba. Byli to William M. Geary oraz Daniel Colwell. M. Geary, choć miał już 47 lat, wygląda wciąż młodo i przystojnie, wciąż będąc pełen energii, która daje szerokie pole manewru wielkiej biznesowej ambicji i wspaniałemu drygowi do zarządzania. Colwell zaś jest bardzo zajęтым człowiekiem i w godzinach pracy nie może sobie pozwolić na żadne rozproszenia. A jednak raz na jakiś czas robi wyjątek, kiedy obcy człowiek przybywa z daleka, by zająć mu czas przy jego stanowisku w biurze Rady Dyrektorów Rycerzy Kolumba. (...). Od czasu do czasu wraca do osobistych wspomnień, mówiąc często, a jednak zawsze z zauważalną delikatnością, o tym dobrym, młodym księdzu sprzed 20 lat, którego wizerunek stał na biurku naprzeciwko nas — ks. McGivney, serdeczny kapłan Chrystusowego Kościoła Miłosierdzia. (...).

Wielebny Richard Foley z Brooklynu, N.Y., bliski kolega ks. McGivney'a z seminarium, powiedział mi niedawno, że trzema najbardziej zauważalnymi elementami charakteru księdza było jego poczucie uporządkowania, głęboka pobożność oraz zasoby dobrego humoru. Jego wycucie porządku było jednak wyjątkowe. Podczas jego pobytu w Baltimore sulpicianie nie byliby zadowoleni z nikogo innego w roli zakrystianina. Jego poczucie humoru również było często widoczne — przez wszystkich, z którymi rozmawiał, jego wesołe słowa, jego genialne myśli warte

więcej niż samorodki złota są wciąż pamiętane i przechowywane niczym skarby. Mówi się również o jego pobożności. Wykryształowała się ona w przejmującej dobroczynności.

W rodzinie McGivney'ów było trzech synów. Obu jego braci było od niego o wiele młodszych. I jeśli ks. McGivney kiedykolwiek marzył choćby o jednej rzeczy na tym świecie, była to nadzieja, że jego bracia będą się cieszyć dobrym wykształceniem. Życzenie to, najdroższe jego sercu, spełniło się od tego czasu: wszyscy trzej synowie zostali kapłanami i obaj jego bracia wciąż żyją. Starszy z nich to Wielebny Patrick J. McGivney z Middletown, Connecticut, aktualnie Kapelan Stanowy Connecticut. Drugi zaś to Wielebny John McGivney z Bridgeport, młody człowiek przed trzydziestką chwalaony za szczerze, ale pełne wdzięku głoszenie Ewangelii.

Ks. McGivney, założyciel Rycerzy, zmarł jako proboszcz parafii w Thomaston, Connecticut, w sierpniu 1890 roku. Nie pozostawił po sobie ani żadnego zadłużenia ani żadnego majątku. A powodem tego jest to, że jego serce dobrodzieja kazało mu oddać potrzebującemu ostatniego dolara. ♦

Ks. MCGIVNEY BYŁ
CZŁOWIEKIEM EKSTRE-
MALNIE DOBRYCH MA-
NIER W KAŻDEJ
SPOŁECZNOŚCI.

KS. JOSEPH G. DALEY (1866-1935) — ksiądz Diecezji Springfield, Massachusetts, autor kilku książek beletrystycznych.